ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 16 września 1922 roku. № 37.

Juljusz German. Powieść.

37) TWARZ Z ZA KURTYNY.

I gdy dawniej, całowaniami obsypując jej białość, zapamiętany w oślepłem wielbieniu, jak w labiryncie gubił się w błędnych mgłach tępej rozkoszy i w szarpiącej grozie zapominał ukochanej twarzy, że omdlewającą tęsknotę krwawił rozpaczliwem pytaniem: „czy to ona... tasama?“ — teraz, w jej bioder wonnej smukłości, w piersi stromych krągłym alabastrze tonąc ustami i wzrokiem, widział jasno, wyraźnie jej lica, lica księżniczki z najczarowniejszej baśni, wszystkich szałów namiętnością blade, a zadumanej dziewiczości wyzwaniem wciąż uśmiechnięte.

— Widzisz mnie w ciemnościach? — objawiła się jego myśl w szepcie jej słów, niby w dźwięku skrzypiec, z oddali kołysankę grających.

Wracając z podróży szczęśliwością kwietnej nad jej twarzą oczami zawisnął.

Zaklętej królewny najjaśniejsze lica, bez przerwy oglądane ciągle...

W ciemnościach?

Prawda... zupełna noc...

Lecz w kątach pokoju przyczajona... Bo oni w kolisku blasków, opalowo przejrzystych, rozświetlających się tak przenikliwie, że widzi teraz, w najpełniejszej tylko jasności dziennej dostrzegalny, brzoskwiniowy puszek, który karnację twarzy słonecznie złoci, widzi na kameljowej białości ramion i przedpiersia cieniutkie dróżki żyłek lazurowych, widzi dokładnie bursztynowe przebłyski jedwabistych loków, w swobodzie snu miękką gęstwę rozrzuconych nad błękitem źrenic.

A ten błękit świeci gwiazd wołaniem w bezkres zawrotny.

Skąd to światło w najmroczniejszej nocy srebrzyście rozkwitłe?

Skąd jego przejmująca siła?

— Z nas dwojga — odrzekł na niewymówione pytanie głos Lili, łączący się aromatem pieszczoty z wiewem ust kochanka.—I z ciebie bije źródłem dotąd utajonem...

W słodką głębię jej oczu zapadł wzroku promieniem czysto śmiałym.

I ujrzał w nich, jak w niezmąconej tafli kryształnych wód, siebie samego. Lecz takim oglądał się po raz pierwszy.

Nie ten mu się objawił, z codziennego patrzenia w zwierciadło niby znamy, którego odbicie witał często z samolubnem zadowoleniem sennie tęskniącem, zaś nieraz odrzucał z niechęcią, dziwując się szyderskiej obcości własnych rysów i fałdom skóry nad niemi ułożonym.

Uśmiechała się doń na obfitem tle kruczych włosów misternością kamei zjaśniona twarz, niedbałą dumą nad zwyciężonem cierpieniem szlachetna. Pozostało w niej niezatarte piękno odrębnego znaku, jemu tylko jednemu właściwie, lecz wdzięk rycerskości zmienił się w zadumę bezgranicznych poświęceń, a z pąku rozmarzenia, ujmującego wiotką melancholją, rozwinął się kwiat niezłomnej wiary w jutro coraz bardziej świetliste. Była to twarz kapryśnego ulubieńca cezarów, Antinousa, drżącego w ciągłej trwodze przed ciosem, co urodę jego unicestwi bez śladu jak proch strzaskanych posągów, przemieniona w natchnione oblicze ucznia świętości, któremu ukazało się zwiastowanie najlepszej nowiny.

— Taki ja jestem?

— Toś ty, ty właśnie—owionęło go brzmienie jej słów jak dźwięk harfy, na której grały niewidzialne, wszechpotężne ręce.

Przyleciało do nich marą złej przeszłości wspomnienie o nocy poślubnej, o złocistych płomykach, w których nawzajem widzieli swą nagość, w których głębie ich istot na najbliższe wyszły spotkanie. Cofnęły się wówczas z pomiędzy nich te blaski i zagasły, unosząc z sobą nieprzeczuwalnych ekstaz zapowiedź, a zostawiając tylko upokorzenie poszukiwań w mroku i rozrywających się spazmów wątły niedostatek.

Teraz zostały. Wychodzą z nich coraz bardziej promieniejące pełnością, z ciał dobywając nieznanych dreszczów cuda.

— To naszej miłości noc pierwsza, prawdziwa — z dwojga ust szeptu jednego wzbiła się melodja i jeden uśmiech wiódł ich do przemożnej fali ostatecznego objęcia.

Wydało się Lili, że dobiegł do niej głos niesłyszany nigdy, cichy, lecz najdotkliwiej wyraźny, niegroźny, raczej siostrzanie czuły, choć dostojny majestatem marmurowej powagi:

— Przekraczasz próg. I już się nie odstanie. Bo za ten próg nie wrócisz.

— Nie chcę wracać w to, co już poznałem — odpowiedziała głosowi porywem myśli uśmiechniętej przeczyście hartowną odwagą.

Ryszard odpowiedziałby taksamo — zaświeciła jej niespodziewanie w głębinie uczuć skryta pewność przedziwnego, nierozerwalnego z nim związku. — Od niego ten pęd śmiałości ku mnie idzie...

— Ryszard? Skąd ta myśl w tym oto momencie?.. Przy nim czarnowłosa kobieta, jak step na wiosnę krasna, ze śliczną tęsknotą w oczach płomiennych... Przy nim... Jak żal... Dlaczego żal... dlaczego?

— Ach, ten niepokój... jego i mój tajemny, o którym nie wie nikt prócz nas... Zbigniewowi o nim nie powiem, boby się bał... Miota mną teraz tego niepokoju wicher, jak kwiatem z krzaku zerwanym... W przestrzeni lecę... Gdzie, dokąd mnie niesie?

To były myśli płynące w strzępach sekund, wibracjami chwil żadną miarą nieuchwytnych, rozpryskujących się rojem skier obok świadomości miłosnych upojeń, która całą jej istność kobiecą ogarniała.

Upojeń, które z obecnego obok nich niezgłębionego ogromu jak

z morza świateł tajemniczych ukazywały moc jednego błysku...

A w nim wszystkie śliczne uśmiechy rozwiniętej w szczęściu młodości, wszystkich obnażeń z kochania wdzięk kwiecisty...

Co za tym błyskiem więcej, co poza nim więcej?

Posłała modre spojrzenie jak śmiałego gońca w opar otaczającej ich bladomlecznej jasności.

Cóż to wokoło? Te meble, ten pokój, jak teatralne kulisy, odsunięte na bok, niepotrzebne. Ta pościel rozrzucona przyzwyczajeniem odpoczynku przytulna... Przecież to zbędne już na zawsze...

Uderzył w nią grot nagłej wiedzy, oślepiająco przenikliwej: „Już nigdy tem jedwabnem przykryciem nie zasłonisz sennego ciała, już nie zaśniesz nigdy, jak kurz przydrożny strząsnąwszy z siebie wszystko, co było zmęczeniem...

Rozsunęły się na barkach kochanka zaplecione dłonie. Dotknęła jedną z nich sznura pereł, przez zapomnienie zostawionego na szyi.

„Cóż to ja noszę? Co to jest? Ktoś mnie ubrał w kamyczki jakieś śmieszne"...

„Gdzie idę, gdzie"?

Owinęło ją całą uczucie promiennego lotu, rozrastającego się zwycięzko nad wszelką przestrzenią, najdotkliwsze wrażenie wydarcia się gwałtownego z ciasnych osłon, które rozpękły się na tysiąc nici pajęczych, rozlatujących się w puch... Lecz ten gwałt umaiła słodycz niezmierzona, nad rozkosz najwyższą łagodnie strzelista, wonna esencją zachwytu jak zapowiedzią szczęśliwości, żadnem pojęciem nieogarniętych, nad rozdygotaną rozpacz myśli: „odchodzę na zawsze" najczulszego pocieszenia dumną pewnością wspaniała: „odchodzisz, bo tęsknot w tobie tyle, które tu spełnić się nie mogą, nauczona piękna odchodzisz po lepsze"...

Lili uniosła się wpół, raz jeszcze objęła Zbigniewa z wszystkich sił ramionami, jednem spojrzeniem całego go oplotła...

Rubiny jagód na smukłych piersiach młodzieńczych...

Jej piersi wezbrane tajemnie radosnem pozdrowieniem miłości nieśmiertelnej...

Jednej urody znak, za innemi cudniejszemi znakami stęskniony...

Nad sercem rubin krwi...

Biją w nie szaleńcze, fale niepokoju: „do czego innego jesteś stworzona, niż to życie, do czego innego"...

Ciemno. Wir mroków kłębiący się przepaścią bezdenną. O Boże! Z wszystkich stron upiory strachu, zolbrzymiałe, wyszczerzone sino echem gróźb cmentarnych... Wszystko się gubi, znika, rozpętanych żywiołów ślepy bezmiar zatapia...

Nie! To najkłamliwszych majaków płonne złudy!

„Jestem! Jestem"!

Nie! W przerażającym nieskończonością bezkresie okręt złoty...

Uśmiech męstwa nad godnością istnienia czujny, uśmiechu nadziei niezwalczonej niczem kwiat ufny: „Przecież Bóg zesłał tę słodycz niezmierzoną, czemu się bać, więc czemu"?

Patrzeć, patrzeć jasno!

Jest jeszcze twarz Zbigniewa...

„Któż to, któż spogląda na mnie z jego oczu"?

„Ten, co się we mnie ujrzał przyszłym sobą, którego dla mnie już nie ma"...

Rozchyliły się jej usta szeptem łzawo śmiejącym, z melodji pieściwych najdźwięczniejszą:

— Przyszło małe, dobre dzieciątko i pytało się o ciebie...

I na tych ustach markizy i dziewczęcia rozsnuł się stokroć żywiej niż w ziemskiej najszczerszej radości uśmiech najistotniej ją zdobiący, ładności jej pańsko uroczej najodrębniejszy klejnot herbowy, ze zdziwieniem wielkiem się łącząc, z lęku przeczyście obmytem.

Ręce wyciągnęła do kogoś, który wciąż, bezustannie przy nich był, a teraz dla niej tylko wyraźnie zjawiony, ostatni płomyk jej na tym świecie świadomości oświecił potęgą czuwającego anioła, iskrę ową zabierając w szlak niepojęty życia ponad życiem.

Gdy te wzniesione ręce w dół opadły, osunęła się poduszek jej głowa, przez poręcz łoża przechylając się ku ziemi, przygarniającej kamiennem prawem rzecz już swoją.

A obłok opalowo srebrny, promieniujący z jej ciała, tak piorunową strzałą przebił się przez ciemność, znikając w niej bez śladu, że oczy Zbigniewa zamroczyły się najczarniejszą nocą, która niespodziewanie zagasiła nieprzenikniętą zasłoną najlżejszy odcień przedziwnych świateł, pomiędzy nimi rozkwitły.

I w pierwszej chwili, od leżącej się odrywając, za tą strzałą w mroku zgubioną ramionami się rzucił, w upewnienia głębi nieświadomej, że najświęciej, najprawdziwiej żywej istoty Lili szuka dłońmi ze szczęścia jeszcze drżącemi.

Znieruchomiały te dłonie w okowach pustki.

Serce zastygło jakby iglicą z lodu przeszyte. Z piersi wyrwał mu się beznadziejnie bezbronny krzyk w samotni:

— Co się stało? Co to?

Natrafił ręką na jej twarz. Wzdrygnął się, zimna zdrętwiałość przejęła go do kości. Odepchnęło go niewysłowioną obcością wrażenie, że dotknął nie jej, lecz—czegoś.

— Lili, czemu nic nie mówisz? Na miłość boską, odezwij się, Lili!

Skoczył na podłogę. Strącając ze stolika w łomotliwym brzęku różne flakony i pierścionki, znalazł po omacku zakrętkę elektrycznej lampki. Nagła zjawa posłusznie obojętnej, żółtawo białej światłości trysnęła jaskrawo na ściany pokoju.

Lili... Ze zmiętego łoża wpół zwieszona, sięga złotemi lokami puszystego kobierca na posadzce. Falisty nieład rozrzuconego miłośnie ciała zakrzepł marmurową martwotą. Zaklęta w ostatnim ruchu przyjęcia w piękno gorejącej tęsknicy, utrwaliła nim doskonałość harmonijną kształtów, śmiałą gracją antycznego posągu słodko dumnych.

Lecz i jak wzrok posągu był oczu błękit bezcenny, z światła krwi wolny...

Zwierciedliła się w nich reszta uśmiechu, który Zbigniew widział przed momentem na jej twarzy, oświetlonej jasnością zrodzoną wśród nich dwojga w czerni nocy. Oświetlonej wyraźniej, niż za dnia, zupełniej, niż teraz w jarzącej obręczy sztucznych blasków.

Reszta uśmiechu, blade jego odbicie... A w niem takiej uroczystej powagi dostojność, choć wszystko rozumiejącym wdziękiem wiosenna, do takiego świętego misterjum zbliżenie, że Zbigniew, nie wiedząc, co czyni, runął na kolana.

Ale za sekundę chwycił ją znów w ręce, do lic najdroższych przypadł roztrzęsionem z nieludzkiego lęku spojrzeniem.

Taką zgrzebną bladością zbielałych nie widział jeszcze nigdy... I cóż to? Widzi sklepienie jej czoła, owal policzków, linje ust karminowe wycięte, lecz nie może objąć zrozumieniem całości tej twarzy.

— Co to jest? Co się stało? — powtórzył dygocąc.

— Zemdlała? Jak wtedy? — wynurzyło się z odmętu przeczuć ratownicze światełko myśli spiesznej w obronie przed męką.

Dalszy ciąg nastąpi.

XAWERY GLINKA.

2) CZERWONA MASKA.

4.

Nowy kat rozpoczął swe urzędowanie nazajutrz.

Ubrany w szeroki płaszcz katowski z dużym kapturem i w maskę, która mu zupełnie twarz zakrywała— stanął o świcie pod szubienicą, ustawioną w głęboko schowanym dziedzichu więziennym. Płaszcz i maska były krwawo czerwonego koloru, i na tle szarego muru okalającego dziedziniec, tworzyły przejmującą zgrozą plamę. Postać kata — wykwitała z szarzyzny grzechów ludzkich niby czerwone memento. Zdawało się, że na podwórcu więziennym zakwitł nagle tej nocy niesamowicie piękny kwiat...

Dziedziniec, na którym tracono skazańców, był niewielki i zupełnie od ciekawości ludzkich oczu ukryty. W samym jego środku—znajdowało się wzniesienie z desek, na którem stała szubienica.

Nowy kat ujął za sznurek zwisający z wysokiego rusztowania — badając tajemnicę strasznego narzędzia. Żaden nerw nie drgnął w nim nawet. Był spokojny—i spokój ten był wprost przerażający.

Tymczasem wprowadzono pierwszego skazanego. Był to mały, o niskim czole, o kudłatem łbie i o zwierzęcem spojrzeniu zalęknionych oczu człowieczyna. Gdy Kłoda, niewprawną ręką zakładał mu śmiertelną pętlę na szyję — skazany nie starał się nawet oprzeć tej operacji, nie uczynił żadnego gestu, któryby był wyrazem lęku czy prośby o litość. Tylko gdy szarpnięty przez Kłodę— zawisł na szubienicy—z krtani jego wydarł się krótki, przejmujący krzyk — raczej charczenie głuche zdławionego bólu...

Tego pierwszego dnia — Kłoda powiesił siedmiu skazanych. Wszyscy oni czekali już oddawna na wymiar sprawiedliwości. Brak kata w więzieniu uniemożliwiał bowiem egzekucję.

— Byłbym dziś ósmy—pomyślał Kłoda w chwili gdy ostatni skazaniec zawisł na szubienicy, i na myśl tą doznał wprost fizycznej rozkoszy.

— Ten ósmy będzie żyć — zawyło w nim coś nagle, zaskowyczało radośnie. Myśl o życiu była upajająca — właśnie w obliczu siedmiu trupów jeszcze niezupełnie ostygłych.

Zwisająca z poza muru więziennego kwitnąca gałąź starej gruszy— roniła białe płatki aż pod stopy szubienicy... Zmęczony Kłoda rozprostował swe szerokie ramiona w rozkosznem przeciągnięciu rąk... Czerwony płaszcz rozwinął się na wietrze — niby dwa groźnie rozpostarte skrzydła... Krwawy ptak, olbrzymich rozmiarów — sposobił się do lotów...

W pół godziny potem opuścił Kłoda mury więzienne, pod przybranem nazwiskiem Jana Demlera. W poczciwie wyglądającym młodzieńcu niktby nie poznał, ani się domyślił nawet niedawnego ojcobójcy, a ostatnio kata więzienia Sądu Okręgowego...

Jan Demler zamieszkał w jednym z uroczych i zacisznych domków na przedmieściu, podając się za urzędnika więzienia. Wystarczyło kilku miesięcy — aby nowy przybysz dał się poznać powszechnie, jako skromny a nad wyraz sympatyczny człowiek. Ludzie polubili go odrazu. Gdy w parę lat potem, poznawszy córkę pewnego zamożnego kupca kolonjalnego—Demler poprosił o jej rękę— przyjęto go niemal z otwartemi ramionami. Odtąd życie jego, stało się jednem nieprzerwanem jasnem pasmem małżeńskiego szczęścia. Katowskie rzemiosło, jakie uprawiał potajemnie przez te dwadzieścia parę lat — ani razu nie zmroczyło rodzinnej idylli.

5.

Ale była jeszcze jedna tragedja w życiu Demlera, która była jednakowoż o tyle lżejszą, że przeżywał ją nie sam, lecz wspólnie z żoną. Powodem tej tragedji był najstarszy syn: Eryk, którego imię padło z ust Demlerowej, w owym wspomnianym przez nas dniu 23 grudnia, i na wspomnienie którego łzy zakręciły się w jej oczach.

Demler patrząc przez okno na ubielone ponową drzewa — przypomniał sobie naraz, że właśnie upływa rok od chwili, gdy oglądał po raz ostatni ukochaną twarz syna. Stanęły mu żywo w pamięci oczy Eryka, które jak twierdzili ludzie były oczami ojca: były tak samo dobre i wzbudzające zaufanie.

Opuszczając pokryjomu dom rodziców — Eryk miał niespełna lat dziewiętnaście.

W liście, który pozostawił na stole w jadalnym pokoju—ten młody szaleniec pisał:

„Serce mi się kraje drogi Ojcze, że was porzucić muszę. Ale trudno. Żądza przygód jest we mnie silniejszą ponad wszystko. Wyruszam daleko, daleko, może do Australji, a może jeszcze dalej, w krainy bardziej dzikie i niezamieszkałe. Oprzeć się powołaniu swemu nie mogę, zresztą nie staram się nawet o to. W domu mi było zawsze dobrze — ale ciasno, bardzo ciasno. Takie ciche życie to nie dla mnie. Ja muszę zostać podróżnikiem. Ciągnie mnie przestrzeń, pociągają mnie niebezpieczeństwa i życie pełne niespodzianek. Przebacz mi to Ojcze, Ty który przez dwadzieścia przeszło lat nie opuszczałeś progu swego domu... I jeszcze jedno: Nie poszukujcie mnie, i nie starajcie się ściągnąć mnie do domu, bo to napróżno. Gdy nadejdzie czas — sam wrócę".

Gdy Demler znalazł ów list porzucony na stole—Eryka już w domu nie było. Zginął jak kamień w wodzie. Przez rok cały Demler oczekiwał na jakąś wieść od syna— ale napróżno. Gdzie był obecnie Eryk, co robił, jakie życie pędził— tego Demler nie wiedział. W myśl życzenia zawartego w liście syna— nie starał się go poszukiwać, aczkolwiek Demlerowa nalegała na to częstokroć.

Patrząc obecnie przez zaśnieżone okno na ten szeroki świat — w wyobraźni swej zaostrzonej miłością ojcowską, widział Demler, jak gdzieś daleko, pod słońcem południa, radość serca ojcowskiego, jego syn pędzi życie pełne czarownych przygód. W głębi duszy czuł żal do chłopca, że się dał porwać temu życiu, które — przecież, mój Boże—szczęścia mu napewno nie da. On stary, stroskany ojciec — wiedział o tem najlepiej. Czuł żal, że jutro, przy stole wigilijnym, jedno miejsce świecić będzie pustką.

Na myśl tą serce jego wypełniło się po brzegi uczuciem bezmiernej tkliwości. Cóżby dał za to—aby Eryk dziś jeszcze powrócił. Ale wiedział, napewno wiedział—że Eryk nie powróci ani dziś, ani jutro. Na samym dnie duszy — poruszył się niby błotnisty męt — trawiący niepokój.

Przez cały ten dzień Demler nie mógł sobie dać rady z tym niepokojem. Dokuczał mu on niby natrętny owad przy każdej czynności, zatruwał każdą myśl, czaił się poza plecami, wyłaził z każdego kąta...

Jakoś przed wieczorem przyniesiono Demlerowi wezwanie Zarządu Więzienia. Miał się stawić jutro o 6-ej rano.

— Nawet w wigilję nie dają ci odetchnąć—oburzyła się Demlerowa.

Demler, który zazwyczaj w takich razach starał się łagodzić niezadowolenie żony — obecnie nie ukrywał zdenerwowania, w jaki go wprawił rozkaz stawienia się jutro do roboty. Był tak wzburzony, że rozlał na świeży obrus herbatę z filiżanki i skrzyczał zupełnie bez powodu córkę swą Annę, na którą nigdy przedtem głosu nie podnosił.

Wcześnie położywszy się do łóżka — Demler przez całą noc nie zmrużył oka. Uczucie wewnętrznego niepokoju spotęgowało się do granic fizycznego bólu. Co chwila zapalał świecę — probował czytać, ale litery zlewały mu się w oczach i sens ich ginął gdzieś w mrokach schorzałej świadomości. Wtedy znów gasił światło, i starał się usnąć, ale pełne ostrego piasku oczy nie mogły domknąć powiek — i z konieczności poczynały sądować ukryte w ciemnościach pokoju zarysy sprzętów. Wówczas z mroku wyłaniała się wyraźnie twarz Eryka.

Nad ranem, wyczerpany moralnie, ubrawszy się szybko wyszedł Demler z domu, tak cicho, że nawet nie obudził zwykle czujnie śpiącej żony. Krokiem ociężałym, jakby wlokąc za sobą cały ciężar swego życia, powlókł się Demler w stronę więzienia.

6.

Wsparty o belkowanie szubienicy, pogrążonej jeszcze w cieniach późnego zimowego brzasku — oczekiwał Demler na przyprowadzenie skazańca, nad którym miał wykonać zwykłą egzekucję.

Szeroki płaszcz katowski spływał niby strumień krwi zarysami ciężko układających się fałd ku ziemi, pokrytej białym nalepem śniegu, skrzącego się od porannego przymrozku, łzy wszystkich straconych na tem miejscu—zaskrzyły się naraz w tym szronie czystymi kryształami zmarzłego cierpienia...

Było już o tyle widno, że krwawo-czerwony kolor płaszcza odcinał się wyraźnie na tle białego śniegu.

Dokończenie nastąpi.

ZYGMUNT ZALESKI.

Smutek miasta.

Smutne jest miasto. Duszy człowieczej mozoły,—
kajdany nazbyt kruche dla snów wielkoluda...
wszak jemu co dnia oto turkusowa złuda
wskazuje krain Słońca promienne cokoły.

Wszystko tu małe: mali ludzie i anioły
i hen aż na poddaszach ziewająca nuda...
cóż mu skarbów poczesnych jest słoneczna ruda?
cóż obszar nieba czysty, piękny i wesoły?

A zdawać by się mogło, że gdy człowiek nagle
ujrzy słońce i ptasząt rozwinięte żagle,
nie zatęskni już więcej za ściekami miasta.

— A jednak — sutereny swe on kocha więcej
nad świat i przeciw temu wznosi ryk bydlęcy,
kto ponad nie promienną tęsknotą wyrasta.

Podwórko.

I ty, brudne podwórko, masz swych wielbicieli
i ciebie kocha mały człek małą miłością!...
tam pies bezpański pora się z półnagą kością,
tam znagła śmiech brutalny w górę racą strzeli.

Ciebie, blada dziewczyno, wszak od słońca dzieli
tyle rzeczy... ty żyjesz jeno męki złością...
nie umiesz się roześmiać szczęściem i radością
i znasz tylko gramofon, gdy gra o niedzieli.

Biedne, brudne podwórko, jak i biedne życie!
biedna duszo człowieka w jarzmie zrodzonego,—
gdzie i kiedy dnie Słońca w twem życiu się liczą?—

Kochasz, śmiejesz się, płaczesz, nie wiedząc dlaczego!
A ja swe oczy w jasnym zatapiam błękicie
i schodzę w snów mych czystych kryptę tajemniczą.

Pieśń weselna.

Trzask łuków, który biegnie błędnych dali ciszą,
jest nam pieśnią weselną, górną szałów tańca...
serca nasze już biją, uszy odzew słyszą...
lecz niewolno zejść braciom z wytkniętego szańca.

A ty stanęłaś oto pod krzyżem, dziewczyno,
lilijowe ramiona prężysz w dzikim rzucie—
lecz nie mnie swą śmiertelną urodą owiną:
inna jest bowiem moja pieśń, inne uczucie.

Włosy twe cudną wrzawą czarnych splotów oto
pełzają ci po twarzy, w źrenicach twych troska...
lecz nie mojaś, niestety, nie mojaś, sieroto!
słońce za ognie oczu twych, dziewczyno boska!

Cóż tam, że serce pęka? cóż? gdy walczyć trzeba!
pęka cała zręba!... lecz dusza nie pęka —
trzeba mi dobyć mieczem miłosnego chleba
i słoneczna na ustach niemieje piosenka!

Przeto przebacz, dziewczyno! nie gardzę... bezkarną
dłonią mię oto życie przykuło do szańca —
i pozostaniesz przeto na zawsze cmentarną,
gdy ja idę w piorunach wojennego tańca.

Klaudyusz Anet. Powieść.

ROZKIEŁZNANE MOCE.

31) Przekład z francuskiego przez H. J. P.

Sawinski pokochał ją za to jeszcze bardziej, ale uprzedził ją i, odzyskawszy zimną krew, zbliżył się do Natalji i rzekł obojętnym głosem:

— W istocie, to taka drobnostka, że nie sądziłem, aby warto było o tem wspominać. Któż nie spędził, lub nie spędzi kilka godzin, czy kilka dni na Gorochowej?

Ale Natalja i jej goście byli ciekawi szczegółów. Musiał więc opowiedzieć wszystko dokładnie. Jedna tylko Lydja nie zadawała pytań. Słuchała z oczami utkwionemi w Sawinskiego, przytakując głową, jakgdyby dla potwierdzenia ścisłości jego opowiadania.

Z początku Sawinski nie śmiał na nią spojrzeć, ale zwolna nabrał odwagi, a mając ją tak blisko siebie, mimowoli widział ją taką, jaką była przed kilku godzinami w jego objęciach. Teraz siedziała w sukni, osłaniającej ją całą i ukazującej tylko jej ramiona, nieco jeszcze szczupłe, i zarysy biustu. Ale dla Sawinskiego suknia nie istniała. Lydja była tylko w cieniutkiej bieliźnie z odsłoniętą piersią. I zaczął się plątać w swem opowiadaniu, nie znajdował słów, wreszcie urwał raptem.

Natalja okazywała żywe zaciekawienie.

— Jesteś pan pierwszym z naszego koła, którego zaaresztowano— rzekła.

— Odstąpiłbym go chętnie innym—odparł Sawinski dość szorstko. — I sądzę, że ci, którzy bedą chcieli uniknąć podobnej przygody, zrobią dobrze, jeśli przedostaną się poza granicę.

Natalja zaczęła sobie z niego podżartowywać. Dlaczego tak czarno na wszystko patrzy? Obecne położenie trwało dłużej, niż można było przypuścić. Któż w najbujniejszej fantazji mógłby sobie wyobrazić, że bolszewicy utrzymają się przy władzy dłużej, niż trzy miesiące?- Mogło im się udać z początku, bo umieli otumanić prostoduszne umysły. Ale dziś każdy robotnik i najostatniejszy z mużyków zrozumieli, że ci wrzekomi dobroczyńcy przynieśli im tylko ruinę; to też padną tak szybko, jak upadł Kierenski.

— O ile Niemcy nie przyjdą załatwić z niemi rachunki—przerwał Iwan Szupow-Karamzin. — To jest ze wszystkiego najprawdopodwbniejsze rozwiązanie.

Sawinski już nie słuchał. Przemyśliwał nad tem, jakby się zbliżyć do Lydji. Wreszcie powiodło mu się to, ale tylko na chwilę.

— Gdybyś wiedziała—szepnął— co bym dał, by módz zaprowadzić cię do siebie.

* * *

Nazajutrz rano, gdy znów ogarnęły go posępne przeczucia i najczarniejsze myśli, jak to miało miejsce poprzedniego dnia, otrzymał najniespodziewaniej w świecie list od żony, który mu przyniósł jeden z konduktorów finlandzkich pociągów.

Sonia donosiła mu, że rewolucja w niczem nie naruszyła domowego spokoju; letnie wille pomiędzy Wyborgiem a granicą pozostały nietknięte. Zdawało się, że finlandzkie bolszewickie władze nie dbają zgoła o burżuazyjną ludność. Pociągi kursowały, jak zwykle. Jednem słowem, w danej chwili Sawinski nie potrzebuje troszczyć się o swoją rodzinę. Sonia spodziewała się, że mąż załatwił wprędce swoje interesa i że będą mogli wszyscy razem przejechać do Szwecji.

List ten pisany był ze spokojem, będącym charakterystyczną cechą Soni; tchnął cały szczerością, serdecznością i prostotą, jak zwykle.

Sawinskiego, w miarę, jak go czytał, ogarniało wzruszenie. Co to była jednak za nadzwyczajna kobieta, ta jego żona! Zdawała się być stworzoną po to, by mu oszczędzać cierpień i trosk. Teraz mógł odetchnąć swobodnie. Dzięki Bogu, rodzinie jego nie groziło niebezpieczeństwo. Mógł zatem bez wyrzutów sumienia pozostać w Petrogradzie.

List miał jeszcze przypisek:

„Możesz przesłać mi odpowiedź przez oddawcę niniejszego. To człowiek pewny. Jego żona i dzieci mieszkają obok nas i ja się niemi zajmuję".

Sawinski przywołał do gabinetu konduktora, który czekał w sali jadalnej.

— Możesz pan wziąć list do mojej żony?—zapytał.

— Mogę, wasza wielmożność— odpowiedział tamten. — Odjeżdżam dziś wieczorem o jedenastej. Jeśli wasza wielmożność życzy sobie przygotować list, zajdę koło ósmej.

— Będę czekał — rzekł Sawinski.—Proszę, zajdź pan koniecznie.

Zostawszy sam, Sawinski zaczął chodzić tam i napowrót po gabinecie. Chodził w ten sposób przeszło godzinę, paląc papierosy jeden po drugim.

Wreszcie, krokiem pewnym, jak człowiek, który powziął ostateczne postanowienie, przystąpił do biurka i siadłszy napisał długi list do żony.

Posłał jej pasporty dla niej, dla dla dzieci i dla pokojówki, zawizowane na Szwecję i Anglję. Błagał ją, aby skorzystała z kilku dni spokoju, jakie miała jeszcze przed sobą (początek rewolucji rosyjskiej był również spokojny), i udała się do Abo, skąd sankami po lodzie można było dostać się do portu wysp Alandzkich i wsiąść na parowiec, idący do Stokholmu. Była to podróż łatwa i krótka. W ciągu trzech dni bez narażania się i zmęczenia znajdą się w bezpieczeństwie. Przesłał również Soni dwa listy do dyrektorów banków, gdzie miał złożone pieniądze w Szwecji i w Londynie. Tym sposobem będzie również materjalnie zabezpieczoną. On sam skorzysta z pierwszej sposobności, aby się z nią połączyć. Narazie granica była zamkniętą, ale to nie potrwa długo. Dzięki swoim stosunkom w komisarjacie spraw zagranicznych, otrzyma zapewne wkrótce wizę na zagranicę. (Pod wpływem wspomnień Sawinski napisał to zdanie nie zastanawiając się). Sonia będzie mogła przesyłać mu wiadomości o sobie przez kurjer Szwedzki. A on użyje tej samej drogi, by jej donosić o sobie. Czasy były takie, że nie mógł rozwodzić się nad powodami, jakie go skłaniały do powzięcia tego, zresztą dobrze przemyślanego, postanowienia, i liczył na żonę, że uskuteczni je niezwłocznie.

List ten był napisany serdecznie i tkliwie, ale rozkazująco.

Następnie Sawinski zajął się uregulowaniem spraw materjalnych w taki sposób, by zapewnić żonie samodzielną używalność jego majątku. Wszystko to zajęło mu sporo czasu.

Gdy skończył, siedział jeszcze w fotelu pogrążony w myślach. Czuł się swobodniejszym.

Było mu tak, jakgdyby oddychał czystszem, subtelniejszem powietrzem jakiejś innej planety. Wszystko układało się nadspodziewanie pomyślnie. Żona jego i dzieci były zabezpieczone od przeciwności losu. Co się tycze jego samego, nie po-

myślał ani na chwilę o niebezpieczeństwach, jakie mu groziły w Petrogradzie. Piotrogród był obecnie jedynem miejscem na świecie, które mogło mu dać szczęście. Był wreszcie panem własnego życia, którego kartę odwrócił właśnie jakiś łaskawy bóg.

W przedpokoju zadźwięczał dzwonek. To była Lydja.

Część trzecia.

I.

NAJPIĘKNIEJSZE NASZE DNI.

Minęła zima. Miasto było niespokojne. Wstrząsały niem naprzemiany obawy i nadzieje.

Ku końcowi lutego Niemcy zaczęli się zbliżać. Byli już w Pskowie, o kilka godzin koleją od Petrogradu. Czy też przyjdą ocalić nieszczęsną ludność, umierającą ze strachu, głodu i chłodu? W obozie bolszewickim panowała trwoga. Przywódcy uciekli do Moskwy i telegraficznie błagali mocarstwa centralne o zawarcie pokoju, jakiegokolwiekbądź pokoju.

Trocki podał się do dymisji. Simeonow podążył za nim. Schronił się do Moskwy i tam intrygował w sowieckich kołach, bardziej jeszcze żądny władzy, odkąd ją utracił.

Sawinski pożegnał go bez żalu. Nie mógł już dłużej znosić tej tajemnej tyranji, którą czuł ciążącą nad sobą.

Oboje z Lydją korzystali z panującego w mieście zamętu. Policja bolszewicka, zajęta przewożeniem papierów i dokumentów do Moskwy, nie tropiła już z dawnym zapałem ludzi prywatnych. Nastąpił więc rodzaj wytchnienia, w którem kochankowie żyli wyłącznie dla siebie w zupełnem odosobnieniu. Widywali się codziennie; po kilka razy tygodniowo jadali śniadania i obiady we dwójkę, a czasem Lydja urządzała się tak, żeby módz spędzić noc u kochanka.

Sawinski miał teraz drugie mieszkanie do rozporządzenia, które mu zostawił jeden z jego przyjaciół, zmuszony nagle wyjechać.

Mieszkanie to znajdowało się na Fontance i tam też Sawinski przyjmował najczęściej Lydję, mieli bowiem zapewnioną samotność, której nikt nie mógł przerwać, i czasowe bezpieczeństwo.

Okna apartamenciku wychodziły na kanał Fontanki, naprost ogrodu, zdobiącego prawy brzeg, przed dawnym pałacem Pawła I.

Odwilż nastąpiła wcześnie tego roku. Ulice źle utrzymane i prawie nie oczyszczane ze śniegu zimą podczas rządów bolszewickich, zamieniły się w błotniste jeziora. Lydja skakała z kamienia na kamień, jak pliszka, i śmiała się, widząc jak jej kochanek, mniej od niej zwinny i lekki, brodził po kałużach.

Gdy dzień był słoneczny, pokój, w którym Sawinski i Lydja przebywali popołudniu kąpał się w blaskach. Złociste promienie ślizgały się po łóżku, na którem leżeli kochankowie, i tworzyły jakby aureolę świetlaną dokoła głowy Lydji z jej bujnych włosów. Sawinski pożerał ją wzrokiem. Ciało jej nabierało w słońcu przezroczystości starożytnego marmuru, przesyconego światłem.

— Nie poruszaj się—mawiał do niej.—Zdaje mi się, że młodziuchna Wenus, zanim zbudziła żądze bogów i ludzi, przyszła podzielić moje łoże. Nie poruszaj się, błagam cię. Pozwól mi, niech się napatrzę na ciebie.

Lydja nie lubiła tej narzuconej nieruchomości i zachowywała ją jedynie, aby zadosyć uczynić życzeniu kochanka. Ale on sam wprędce jej miał dosyć.

— Bogini cudna!—mawiał.—Czy śpisz? A może mnie już nie kochasz przypadkiem? Może zechcesz mi powiedzieć, na jaki rozkaz Nieśmiertelnych zstąpiłaś tu do tej chłodnej Scyrji w chwili, gdy ludzi ogarnął tu smutny i wściekły szał?

— Wyłącznie, aby cię zadowolnić — odpowiedziała Lydja, wstając i składając mu głęboki ukłon.—Wyłącznie, abyś mógł cieszyć się mną, mój władco, aż do chwili, kiedy ci się naprzykrzę i kiedy mnie odeślesz tam, skąd przyszłam.

Innym razem, obsypując kochanka pieszczotami, mawiała:

— Nie mogę zrozumieć jeszcze, dlaczego ty mnie kochasz. Jestem przecież tylko głupiutkiem, niezręcznem dziewczątkiem. Jestem pewna, że drwisz sobie ze mnie, kiedy cię całuję... Cóż ja wiem? Poprawdzie, nic. Jakże ci się muszę wydawać nudną. Wściekłość mnie ogarnia, gdy o tem myślę. Naucz że mnie prędko wszystkiego, żebym nie potrzebowała rumienić się przed tobą.

Kiedyindziej znowu rozpływała się nad nim w pochwałach.

— Jesteś, jak skała—mówiła.— To było pierwsze wrażenie, jakie na mnie sprawiłeś. Pamiętasz, przed hotelem Europejskim, tego dnia, kiedy strzelano na Newskim? Dokoła ciebie ludzie uciekali, jak szaleni. Ale ty stałeś nieruchomy, jakgdyby wrośnięty w ziemię. Padłam ci wtedy u stóp i tak już zostałam. To moje właściwe miejsce. Drżałam ze strachu, ale kiedy mnie podniosłeś, przestałam się bać, bo czułam, że jesteś stworzony, żeby się mną opiekować. I taki jesteś piękny!.. (Sawinski zaczął się śmiać). Tak; jesteś piekny; i mówię ci to nie dlatego, że cię kocham. Spostrzegłam to odrazu i teraz jeszcze, bądź pewien, że mogę patrzeć na ciebie objektywnie. Masz tę piękność, jaką mężczyzna mieć powinien. Lord Douglas jest zachwycający, ale to dzieciak. Czyż można oddać się dzieciakowi, gdy się jest samą dzieciakiem? Pojawiłeś mi się w godzinie twej doskonałości.

— Z mnóstwem zmarszczek! — przerwał Sawinski.

— Zmarszczek!—powtórzyła Lydja gniewnie.—Kto się ośmieli twierdzić, że ty masz zmarszczki? To są zarysy, podkreślające twoją piękność i nadające jej ten charakter, który kocham w tobie.

— Nie mów tak do mnie—rzekł Sawinski, tuląc ją w objęciach. — Moje szczęście jest zbyt wielkie. Urąga bogom.

* * *

Pewnego dnia, gdy pili herbatę w mieszkaniu na Fontance i gdy rozpamiętywali namiętnemi słowy początki swego związku, zaczęli mówić o pierwszych dniach rewolucji bolszewickiej.

Sawinski myślał często o tragicznym końcu kuzyna Lydji i o tem długiem odosobnieniu, jakiem ona śmierć jego upamiętniła, i ogarniała go nieprzeparta chęć dowiedzenia się, co właściwie było pomiędzy tem dwojgiem. Czy Lydja kochała go?

Ale lękał się obudzić uśpioną w jej sercu boleść, i krążąc często dokoła tego przedmiotu, nie śmiał nigdy poruszyć go wręcz. Czasem, gdy imię Pawła było wymówione, Sawinski rozpytywał Lydję o charakter nieszczęsnego młodzieńca, ona zaś długo zbywała go półsłówkami. Zwolna jednak unosiła się zasłona. Postać Pawła rysowała się coraz wyraźniej, aż wreszcie Lydja, ogarnięta falą wspomnień, opowiedziała Sawinskiemu, czem była dla niej śmierć jej kuzyna.

Dalszy ciąg nastąpi.